

Czesław Białczyński

*Nowe Przygody Baltazara Gąbki i jego
Kompanii*

Tom 1

Na tropie Czarnej Dziury

©copyright by Czesław Białczyński & Kraina Księżyca

® all rights reserved by Kira Białczyńska & Sawa Białczyńska



Rozdział 4 – Gdzie szukać klucza do Klucza, czyli dziwne wydarzenia w Bibliotece Jagiellońskiej

Na miejsce kolejnego lądowania wybrano jednogłośnie Bardzo Bardzo Starą Brzozę. Najbezpieczniejszym lądowiskiem okazało się szerokie, potrójne rozwidlenie na jednym z czterech potężnych konarów. Było to bardzo wysoko nad Ziemią, tuż przy wielkiej dziupli. Potężny pióropusz liści wystarczająco osłaniał tutaj latający talerz przed wzrokiem ciekawskich ludzi. Mimo, że pojazd pozostawał stukrotnie pomniejszony, nadal miał jednak średnicę stolika ogrodowego, a do tego połyskiwał srebrzyście w promieniach słońca.

Zanim doszło do trzeciego już w tej wyprawie lądowania na Ziemi, doszło też na pokładzie do krótkiej dyskusji, którą rozpoczął Smok Wawelski.

- Nie możemy bez przerwy przebywać na orbicie – rzekł zafrasowany – jeżeli mamy zamiar wykonać naszą misję na Ziemi. Trzeba wrócić do zwyczajnych wymiarów, a statek dobrze ukryć.

-Masz rację, Smosiu – powiedział na to profesor Gąbka – Myślę, że nasza stała baza będzie w Krainie Tysiąca Nenufarowych Jezior. Jak rozwiązać ten problem?

- Trzeba wybrać jakiś punkt, tam powiększyć talerz i samych siebie, ukryć pojazd i jakoś wtopić się w tłum. – włączył się Don Pedro – Trochę się na tym znam, było nie było.

- Biorąc pod uwagę, że dosyć egzotyczna z nas kompania, nie będzie to proste – rzucił książę Krak wyobrażając sobie, jak maszerują ulicami współczesnego miasta – Ja sam w królewskim płaszczu i koronie to drobiazg. Słyszałem, że królowie wciąż jeszcze istnieją. Ale Smok, Mądrodudek czy Don Pedro wzbudzą na pewno nie lada sensację.

- Czy jesteście przekonani, że ta kraina w ogóle leży w Polsce? – zapytał Samborek

- Szczególnie Wielki Komputer określił miejsce, gdzie objawi się Obiekt-Klucz, jako Najczystsze Miejsce na Ziemi w Krainie Bociana oraz Tysiąca Nenufarowych Jezior. – jeszcze raz przypomniał Doktor Koyot – Egipt jest krainą bociana, ale odpada ze względu na brak jezior. Pozostają zatem wyłącznie Litwa, Niemcy i Polska.

- Tak, siak czy owak – powiedział Don Pedro – Baza powinna być na północy.

- A może w Warszawie? – zastanawiał się Bartolini – W dużym mieście łatwiej się ukryć. A Warszawa jest podobna do Grodu Kraka. Powinniśmy się tam czuć swojsko i bezpiecznie.

- Z tym ukryciem się, to Bartłomieju nieźle przesoliłeś – rzekł książę Krak trochę zgryźliwie – I to wcale nie ze względu na długi nos Doktora Koyota, on akurat, nie licząc Samborka i psa, wygląda najnormalniej z nas wszystkich. Jestem jednak za, ze względu na obecność Guiltów w stolicy! Zdecydowanie.

- Zatem bazę - wyszeptał Don Pedro zacierając ręce – umieścimy pod samym nosem wroga. Pod latarnią najciemniej! – przymknął powieki i uśmiechnął się do swoich wspomnień – Tak nas uczyli, kiedy Krainą Deszczu rządził jeszcze Największy Deszczowiec. – jego głos się rozmarzył – W Akademii Szpiegowskiej nad Jeziorem Łubianka. Stare, dobre czasy...

- Czyżbym słyszał w twoim głosie tęsknotę?! – huknął na niego Smok.

Głos Smoka poderwał Don Pedra w fotelu. Smocze oczyska wlepione gniewnie w jego zadowoloną twarz mogłyby chyba zaraz cisnąć błyskawicami. Don Pedro udał, że się nie boi, ale serce zastukało mu mocniej.

- Carrramba! Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie wiem, skąd mnie to naszło. Za nic w świecie nie chciałbym przecież powrotu do tamtych czasów, mimo że wciąż pracuję dla Największego Deszczowca. On zupełnie się zmienił, od kiedy wybudował kanały Mypingom, czyż nie?

- Oczywiście – rzekł Baltazar Gąbka – Zmienił się i możemy być spokojni, że już nigdy nie zechce być dawnym satrapą. Jednak na szczęście, nie całkiem się zmienił.

- Dlaczego? – zapytał Samborek. To słowo było jednym z najczęściej przychodzących mu ostatnio do głowy – Od początku główkuję – ciągnął – dlaczego Don Pedro musi składać raporty Największemu Deszczowcowi, i dlaczego latający talerz musi być w kontakcie z ósmym wiekiem?

Profesor Gąbka jakby tylko na to czekał. Od razu z wielką radością palnął mały wykład na temat „Czym różnią się Deszczowcy”.

Nie będziemy tutaj przytaczać owego wykładu, bo Autorowi nie starczyło odwagi, żeby go słowo po słowie zapisać, wydawcy niniejszej książki zapewne nie starczyłoby pieniędzy na papier, żeby go w całości wydrukować, a wam na pewno nie starczyłoby cierpliwości, żeby go tak dzielnie wysłuchać, jak to uczynili członkowie wyprawy. Streszczając wywód profesora należy powiedzieć, że z Deszczowcami sprawa ma się nieco inaczej niż z wszystkimi innymi. Deszczowcy muszą mieć zawsze jednego jedyne wodza i bardzo lubią słuchać jego rozkazów. Swojemu wodzowi bezgranicznie zawsze ufają i nigdy mu się, sami z własnej woli, nie sprzeciwiają. Dlatego to Smok Wawelski, Bartolini herbu Zielona Pietruszka i profesor Gąbka musieli w Krainie Deszczu wywołać rewolucję. W przeciwnym razie nigdy by się tam nic nie zmieniło. Jak może niektórzy z was pamiętają, potem, podczas karnego pobytu Największego Deszczowca i pana Mżawki w Grodzie Kraka ich praca polegała na podlewaniu kwiatków w królewskich ogrodach. Wtedy to dosyć często odwiedzał ich doktor Koyot, gdyż wciąż mieli katar. Chcąc im za wszelką cenę ulżyć, Doktor Koyot przeprowadził dokładne badania Deszczowców. Jako królik doświadczalny wystąpił również Don Pedro, będący podówczas ambasadorem w Grodzie Kraka. Okazało się, że Deszczowcy łapią katar na odwrót niż wszyscy inni, to znaczy wtedy, kiedy mają za sucho. Przy okazji wyszło na jaw, że Największy Deszczowiec różni się od pana Mżawki i Don Pedra. Jak wszyscy oni, Największy Deszczowiec miał za uszami skrzela, a palce stóp połączone błoną. Jednak tylko Największy posiadał dodatkowy narząd – kilka specjalnych włosów czuciowych w nosie. Pozwalały mu one wyczuwać najmniejsze nawet zanieczyszczenia wody i powietrza. Z powodu posiadania tego właśnie zmysłu Największy Deszczowiec, a nie żaden inny, pomniejszy, wyznaczał miejsca pod kolejne osiedla, wskazywał ujęcia wody i kierował pracami melioracyjnymi w Królestwie Deszczu. Stąd wzięła się jego królewska pozycja w społeczeństwie Deszczowców. Na szczęście po rewolucji wrażliwość ta mu pozostała, choć pod każdym innym względem był już teraz zupełnie nowym człowiekiem. Przez lata sprawowania swej funkcji Największy Deszczowiec nauczył się rozpoznawać najczystsze miejsca jednym rzutem nosa i oka. W końcu nawet nos przestał mu być do tego potrzebny. Czynił to głównie patrząc po roślinach i innych znakach, niezauważalnych dla zwykłych zjadaczy chleba. Tylko on więc mógł naszym bohaterom pomóc znaleźć to jedyne, Najczystsze Miejsce na Ziemi. Zadaniem Don Pedra zaś było przekazywanie Największemu Deszczowcowi jak najwierniej wszystkich obrazów w trakcie wyprawy. Ponieważ w VIII wieku nie znano Internetu, Don Pedro czynił to z użyciem ponadczasowej radiostacji, przekazując przez „eter” to co widział wprost do ucha Największego Deszczowca. Dzięki mini-mikrofonowi, który Mądrodudek wczepił w klapę marynarki Największego Deszczowca ten mógł się porozumiewać tą samą drogą z latającym talerzem. Niestety wizja nie przepychała się wciąż jeszcze przez eter, czy jak kto woli przez pozaprzestrzeń, tak łatwo, jak dźwięk.

Czarny Bolo przespał ten wykład zwinięty w kłębek pod pulpitem sterowniczym. Spał trochę niespokojnie, bo wciąż nie był pewien czy Pan z Głową w Chmurach jakoś przetrwa do jego powrotu. Don Pedro miał za złe pieskowi, że chrapie, podczas gdy jest mowa o odmiennościach rasy Deszczowców. Nie odezwał się jednak, tylko złośliwie trącił psi ogon końcem buta. Czarny Bolo otworzył jedno oko i cicho warknął, ale zaraz znów zasnął. Mądrodudek też wcale nie słuchał, co mówiono. Postanowił przejść do czynów, skoro tutaj wciąż tylko trwały narady i pogaduchy. Przez ten czas grzebał w laptopie. To był naprawdę trudny wykład.

- Ja mam! Ja-ja!!! – wrzasnął nagle, przerywając wywody profesora Gąbki – Król Boć! Ja znalazłem w In-net!

Książę Krak, który miał kłopoty ze rozumieniem jego szybkiej mowy, natychmiast podszedł do Mądrodudka i odczytał ze strony internetowej co następuje:

- Kraina Bociana.

- Patrzcie, patrzcie, to rzeczywiście istnieje. Eswukael wcale nie zmyślał. I gdzie to jest? – zainteresował się Bartolini

- Tworzą ją trzy powiaty nad jeziorem Gołdap. Dzięki ci Mądrodudku za to wspaniałe odkrycie. – książę Krak czule poklepał Mądrodudka po metalowym hełmie – Nieźle się spisałeś.

- Czy nie czas, żebyśmy my też wreszcie coś zrobili? – rzucił Smok trochę zazdrosny o książęce czułości.

I na tym zakończył się wykład profesora Gąbki, a ponieważ zajął sporo czasu, zrobiło się prawie południe i zaczęto się mocno spieszyć. W tym pośpiechu wybrano jednogłośnie Bardzo Bardzo Starą Brzozę na lądowisko. Co prawda tuż przed głosowaniem Samborek chciał im jeszcze coś powiedzieć, ale zakrzyczano go, że szkoda teraz czasu na jakieś dyskusje.

- Na wykłady jest czas – pomyślał Samborek – a na dyskusje nie ma.

Wzruszył ramionami, ale nie chciał się sprzeciwiać wszystkim. Sprawę dojścia do właściwych wymiarów i znalezienia stałej bazy przełożono na jutro. Teraz trzeba było pędzić do Biblioteki Jagiellońskiej. Dotrzeć do księgi Mistrza Twardowskiego i czym prędzej odnaleźć sentencję, będącą kluczem do rozpoznania prawdziwego Klucza do Zmiany sytuacji na Ziemi. Do realizacji tego zadania wytypowano cztery osoby, które najmniej rzucały się w oczy: Profesora Gąbkę, Samborka, Doktora Koyota i księcia Kraka. Reszta miała pozostać w statku i dokonać przeglądu maszynierii, aby wszystko było gotowe do lotu na północ. Tylko Bartolini miał inne zadanie, zlecono mu bowiem przygotowanie bardzo smacznej gorącej kolacji i to jeszcze przed zachodem słońca.

Doktor Koyot wyrzucił z otworu drzwowego latającego talerza bardzo długą drabinkę, która poszybowała ku ziemi. Smok Wawelski został w otworze a pozostali zeskoczyli na konar. Kiedy Samborek rzucił okiem w dół, natychmiast zakreśliło mu się głowie, a potem zrobiło mu się czarno przed oczyma. Profesor Gąbka w ostatniej chwili złapał go za rękę, bo chłopiec byłby stracił równowagę i spadł z konara.

- Oou – zauważył profesor Gąbka – Nasz młody przyjaciel ma chyba lęk przestrzeni.

- Nic się nie dzieje. – rzekł Doktor Koyot – Wiem, jak to jest. Zamknij Samborku oczy, a ja cię wezmę na barana.

- Wcale nie o to chodzi – obruszył się Samborek nieco urażony – Przypomniałem sobie, co ludzie mówią o tym miejscu. Mówią, że to siedziba złych duchów. Twierdzą, że tutaj straszy, że tu znikają przedmioty, a nawet ludzie. Od razu oczami wyobraźni zobaczyłem te wszystkie ciemne siły i zrobiło mi się przed nimi czarno.

- Czy dalej jesteście pewni, że wybraliśmy dobre lądowisko?! – zadał retoryczne pytanie książę Krak. – Szkoda Samborku, że mówisz nam to dopiero teraz.

- Próbowałem, ale wszyscy chcieli już głosować i to na „tak”.

- Jak widać, bywa, że dobrze poinformowani się mylą, a ten jeden, o którym wszyscy mówią, że się myli, ma świętą rację.

Oczywiście, teraz myśleli, że popełnili gruby błąd, nie wysłuchując przed głosowaniem Samborka.

- Proszę cię Samborku – rzekł profesor Gąbka – Na przyszły raz musisz być stanowczy i trzymać się swego. Nawet jeżeli pozostali są przeciwko tobie.

- Okej. – powiedział Samborek.

Wszyscy poczuli lekki niepokój. Doktor Koyot zaraz ich jednak pocieszył:

- Liszki i paskudniki nie atakują w świetle słońca, ani nawet za dnia. Do zachodu mamy czas. Ale kiedy ostatni promyk schowa się za horyzontem, musimy brać nogi za pas. Pośpieszmy się zatem – rzucił za siebie i zaczął się opuszczać po drabinie.

Samborek szedł za nim. Wczepił palce w liny, postawił mocno stopy na szczeblu i zacisnąwszy jeszcze mocniej powieki zaczął schodzić w ciemno. Samborek wolał sobie nawet nie wyobrażać, ile setek szczebli jest jeszcze do przejścia, żeby móc stanąć na pewnym gruncie. Postanowił jednak przezwyciężyć słabość i dzielnie posuwał się w dół...

Ostatni postawił stopę pod Bardzo Bardzo Starą Brzozą książę Krak.

- Świetnie – powiedział do pozostałych – jesteśmy w komplecie. Teraz Samborku powiedz nam, jak najszybciej dostać się do Biblioteki Jagiellońskiej. Możesz otworzyć oczy, jesteśmy już przecież na dole.

- Możesz też puścić drabinkę – powiedział doktor Koyot – Szarpnę trzy razy a Smok wciągnie ją na nasz talerz.

Dopiero po chwili dotarło do Samborka, że ktoś do niego mówi, a po dwóch chwilach, co mówi. W trzeciej chwili doszedł do siebie i stwierdził ze zdziwieniem, że oto schodząc w dół po tylu szczeblach przeszedł samego siebie i przezwyciężył swój największy strach – lęk wysokości.

- To było przejście – wysapał otwierając oczy i puszczając drabinkę. – Jeszcze mi krew w żyłach buzuje.

- To adrenalina. – powiedział przemądrzały Doktor. – Wiec jak się tam dostaniemy?

- Gdzie? A, do Biblioteki Jagiellońskiej. Prosto – powiedział Samborek stawiając pierwsze kroki na stałym lądzie – Wsiądziemy w autobus linii 139 i za dwadzieścia minut będziemy na miejscu. – Kolana miał zupełnie miękkie.

- Stop, gdzie idziesz?! – Doktor Koyot zatrzymał go wpół kroku.

- Do autobusu? – zdziwił się Samborek.

- Jesteś jakies sto razy za mały, żeby wskoczyć choćby na najniższy stopień.

Doktor Koyot rozglądnął się dookoła i wyciągnął zza pazuchy umklajder. Dotknę każdego z was w nos. Od nosa magiczne astrale rozchodzą się równomiernie. Co prawda kiedyś za młodu, kiedy zaczynałem dopiero swoją przygodę z magią przez duże eM zdarzyło mi się wykonać to nieprawidłowo, ale... teraz mam już doświadczenie. Zaczniemy od ciebie, Samborku.

I nim Samborek zdążył mu powiedzieć, żeby w takim razie najlepiej rozpoczął od siebie, już poczuł magiczne dotknięcie na czubku nosa . PSTRYK!

Zobaczył ze zdziwieniem, że nagle wszystkie rzeczy dookoła stają się mniejsze i mniejsze. Trwało to ułamki sekund, aż wreszcie zatrzymało się, jak rozpedzony wagon na stacji metra. Samborek rozglądnął się dookoła.

-Phi – wzruszył ramionami. Bardzo Bardzo Stara Brzoza wcale nie była teraz taka wysoka, za to jego przyjaciele zniknęli gdzieś w trawie. Z trudem ich wypatrzył. – Ale jesteście malutcy.

- Teraz ty. – rzekł Doktor Koyot i trzepnął po nosie profesora Gąbkę.

Samborek ze zdumieniem obserwował, jak kolejni kompani wyrastają obok niego niczym grzyby po deszczu.

- To miłe być normalnej wielkości – rzekł książę Krak i mocno wcisnął koronę na głowę.

- A co się wtedy stało doktorze, jak się pan w młodości pomylił?

Ruszyli przez Stary Park w stronę Końskich Zagród i przystanku autobusowego.

- Eeee, co tam gadać. ..wszystko poszło dobrze. No, prawie dobrze... Znasz Samborku tę bajkę o Pinokiu[1]? ... No, jakby tu rzec... Ona się wzięła właśnie stąd.

- Acha – powiedział Samborek, ale nie do końca załapał, co konkretnie Doktor Koyot miał na myśli.

Wysiedli prawie pod samą Biblioteką, tylko że to, co było dawniej jej frontem, teraz stało się tyłem, choć stało nadal przodem do Alei Trzech Wieszców. W każdym razie wejście było chwilowo z odwrotnej strony, od ulicy Oleandry. Dobrze, że nie zdarzyła im się w czasie jazdy kontrola biletów, bo ich po prostu nie mieli, a wtedy mogli trafić zupełnie gdzie indziej niż do biblioteki. Nikomu nie polecam tego sposobu podróżowania, czyli jazdy na gapę. No chyba, że nie ma wyjścia! Wtedy trzeba być jednak przygotowanym na nieprzyjemności. Czasami grube nieprzyjemności! Bardzo grube. Co prawda nasza czwórka jechała zamiast dwudziestu minut czterdzieści pięć, bo autobus dłużej stał w korkach niż jechał, więc może nawet należał im się zwrot za bilety a nie mandat. Jednak skoro ich nie mieli, to nie byłoby i zwrotu. W każdym razie książę Krak, jak tylko się w tym wszystkim połapał, wyciągnął zza pazuchy trzy szczerozłote krakusy (nie mylić z krakersami ani z krakenami[2]) i zamienił je,

po krótkiej dyskusji w kantorze na wór nowych polskich złotych. Nie był to nawet taki wielki wór, raczej woreczek na pantofle, ale zmieściło się w nim tyle gotówki, że mogliby za nią kupić sto samochodów średniej marki, średniej wielkości statek na Wiśle, albo nawet dziesięć metrów kwadratowych Wawelu. Książę Krak śmiał się z pomysłu, żeby kupować własny zamek, no ale teraz ten zamek wyglądał nieco inaczej, niż za jego czasów. Jego następcy nieźle go rozbudowali, chociaż już w 1978 roku książę miał kilka pomysłów, co by tu wyburzyć, a co w zamian postawić. Nie wszystko było więc z Wawelem jak trzeba, a wkrótce miało się okazać, że nie wszystko jest jak trzeba także w Bibliotece Jagiellońskiej.

- Jakże się cieszę – skomentował książę Krak XXIV wchodząc w znaczne biblioteczne progi – że moi następcy postawili coś tak wspaniałego po to tylko, żeby przechowywać w tym stare książki.

- Ja też się cieszę – rzekł Samborek – Teraz większość książek idzie na makulaturę.

- Makulatura – zdziwił się Doktor Koyot – to brzmi prawie jak kultura, ale taka bardziej na opak, pokrecona.

- Dokładnie na opak i raczej przekrecona, na opak-owania. – zażartował Samborek, ale nikt nie zrozumiał żartu, gdyż w VIII wieku zbiórka surowców wtórnych była jeszcze w powijakach.

W recepcji biblioteki stała wśród ludzi dziwna dziewczyna. Samborek zauważył ją już w autobusie, bo była ubrana całkiem na zielono – zielone dżinsy, zielona bluzka, zielone pantofle i jeszcze bardziej zielony kapelusz, a na nosie, zamiast różowych, miała zielone okulary. Reszta kompanii nie zwróciła na nią uwagi i kontynuowała rozmowę.

- Muszę ci powiedzieć, miły książę – rzekł Baltazar Gąbka – że ufundowali nie tylko bibliotekę, ale także wspaniały uniwersytet, gdzie uczył się Mikołaj Kopernik i odkrywał prawa wszechświata. Między innymi poruszył Ziemię i zatrzymał Słońce, dzięki czemu możliwe są dzisiaj loty kosmiczne. Tutaj też wykładał magię Mistrz Twardowski. Ten wielki krakowski czarownik znany był w świecie pod nazwiskiem Laurentius Dhur, albo Durentius. Powiadają, że istniały dwie księgi napisane przez niego – „Księga zaklęć i czarów” oraz „Encyklopedia Nauki”. Powiadają też, że księgi te zaginęły, ale Szczególnie Wielki Komputer Lodowy twierdzi, że książka znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej, tylko jej autorstwo przypisane zostało komu innemu.

- Czyli, że specjalnie wydano ją pod pseudonimem? – zapytał Samborek

- Właśnie. Musimy szukać pod literą L, bo ten pseudonim brzmi Laurenty z Rud.

- Mistrz Twardowski po mistrzowsku umiał mylić ślady. Racja! – krzyknął Samborek i przystanął porażony nagłym odkryciem – Przecież wykiwał samego Księcia Ciemności, więc jest oczywiste, że w jego książce będzie szyfr, który te ciemne siły powstrzyma!

- Trafne spostrzeżenie. Gratuluję, Samborku. Nie każdy by na to wpadł. – rzekł Doktor Koyot.

- Mistrz Twardowski umiał nie tylko czarować. – powiedział profesor Gąbka – Wywoływał też duchy dla samego króla Zygmunta Augusta. W tamtych czasach magia była uznawana za

naukę. W naszym VIII wieku zresztą też. Na Lodowie do dzisiaj jest wysoko ceniona. Może dzięki temu, iż wierzyli w istnienie eteru mają tam teraz tak wysoko rozwiniętą technikę.

- Dziwię się, że mówisz to ty, Baltazarze, który jesteś profesorem żabologii stosowanej, a więc poważnej nauki – powiedział Doktor Koyot – Ale jako doktor magii, jak najbardziej popieram twoje poglądy.

Kiedy tak rozmawiali, zmierzając do głównego katalogu biblioteki, jak spod ziemi wyrosła przed nimi Zielona Dziewczyna.

- Ja chyba pana skądś znam? – odezwała się do Baltazara Gąbki – Profesor?... Zaraz, zaraz... pst, nazwisko uciekło mi z głowy, mam je na końcu języka.

Profesor Gąbka szybko założył ciemne okulary i przekręcił melonik tyłem do przodu.

- To jakaś pomyłka – rzucił, po czym skrył się za ramieniem doktora Koyota.

- A pana nie znam wcale – rzuciła dziewczyna patrząc na Doktora Koyota.

Profesor tymczasem błyskawicznie ruszył w kierunku katalogów. Zielona Dziewczyna została zamysłona na środku recepcji.

- Jasne, że mnie nie zna – pomyślał doktor Koyot – O mnie filmów nie robili.

Profesor już zanurzył swój nos i powiększające szkło we właściwej przegródce i przekładał karty na literę „L”.

- Najlepiej rozejdźmy się do różnych katalogów – zaproponował książę – Tak będzie szybciej.

- Spotkamy się potem w kawiarence, tu na parterze – rzucił Doktor Koyot udając się do katalogu rzeczowego.

I rozeszli się, zanim Zielona Dziewczyna zdążyła znów ich dopaść.

Po godzinie wertowania wszystkich możliwych katalogów spotkali się na dole. Zielona Dziewczyna już tam siedziała, popijając napój orzeźwiający. W żadnym katalogu nie znaleźli książek Laurentego z Rud. Czyżby Szczególnie Wielki z Lodowy się pomylił? Byli wyczerpani i zniechęceni .

- Nigdzie nie ma. Może Szczególnie Wielki nie wie co mówi?! – wyraził skrywaną dotychczas głęboko wątpliwość Doktor Koyot.

- Gdzie on to wygrzebał, że pod pseudonimem, i że akurat tutaj to mają?! – profesor Gąbka był najwyraźniej rozczarowany.

- Przestaje mi się to podobać. Popadamy w zbyt czarny nastrój. Należy wzmocnić siły – rzekł władczo książę Krak. – Proponuję herbatkę.

- Dla mnie zieloną mrożoną, green ice tea – poprosił Samborek.

- Dla mnie też – powiedział Doktor Koyot – Zielona herbata jest bardzo zdrowa i rozjaśnia umysł.

- Niech zatem będą cztery mrożone zielone – powiedział książę Krak.

Książę zdjął koronę, położył ją na krześle i podszedł do baru, gdzie grzecznie ustawił się w kolejce. Po chwili przyniósł na tacy napój w dzbanku i cztery szklaneczki. Zapłacił za wszystko banknotem z woreczka. Książę Krak XXIV to był naprawdę równiacha i fajny władca, więc z byle powodu korona nie spadała mu z głowy.

- Wiem – Gąbka uniósł palec do góry – On może być pod literą „Z” albo pod „R”. Na przykład jako Z Rud Laurenty, albo Rudy Laurenty Z.

Zielona Dziewczyna właśnie przechodziła obok, kiedy profesor wypowiedział to nazwisko i zatrzymała się z zaciekawiona.

- Nie możecie znaleźć autora czy tytułu?

- Ani tego, ani tego – odpowiedział grzecznie na pytanie książę Krak, który nie zauważył, że Doktor Koyot kopie go ostrzegawczo w kostkę pod stołem.

- Mnie też się nie powiodło. A wy czego szukacie? – zapytała. A kiedy nikt jej nie odpowiedział, kontynuowała niezrażona dalej – Ja szukam raportu o przygotowaniach do budowy elektrowni atomowej na Mazurach. Ale raport jakby się zapadł pod ziemię. Nikt nic nie wie.

Przez moment pomyśleli ze zgrozą, że dziewczyna ma zamiar się do nich przysiąść, lecz ona nagle klepnęła się dłonią w czoło i pobiegła do działu czasopism.

- Szalona osoba – powiedział Doktor Koyot, który jej chyba nie polubił.

- A mnie się podoba – rzucił beztrosko Samborek.

- Musimy być czujni – rzekł profesor Gąbka – Guilty mogą być już na naszym tropie. Na pewno ciemnymi kanałami poszły już w świat wieści o bitwie w Tajemniczym Ogrodzie.

- Ta sympatyczna osoba nie wygląda mi na wysłannika Ciemnych Sił – stwierdził książę wypijając do dna swój napój herbaciany.

- Do roboty! Biermy z niej przykład, bo nie zdążymy z powrotem przed zmierzchem, chociaż dni są teraz wyjątkowo długie.

Nasi bohaterowie znów rzucili się do różnych katalogów, nic jednak z tego nie wyniknęło. Po kolejnej godzinie spotkali się w tym samym miejscu i zamówili kolejną porcję tego samego. Miny mieli markotne. Misja natrafiała na poważną przeszkodę. Tym razem była to przeszkoda zasadnicza. Znaleźli się w prawdziwej kropce. Bez „Księgi zaklęć i czarów” Imć Twardowskiego, która była kluczykiem do klucza, czyli do zapisanego w niej tajemnego zaklęcia-wskazówki, które miało z kolei wskazać obiekt-rzecz, a więc Wielki Klucz spoczywający gdzieś w Najczystszej Miejsce Świata, tego Wielkiego Klucza do Zmiany Sytuacji na Ziemi nie sposób było odszukać. Nagle otwarły się drzwi czytelni i wypadła z

nich rozpromieniona Zielona Dziewczyna. Przebiegła obok nich machając nad głową plikiem kartek.

- Mam! Nie to co chciałam, ale teraz przynajmniej wiem gdzie szukać!

Nim jeszcze całkiem zniknęła rzuciła do księcia Kraka przez ramię:

– Nie zapomnijcie o Katalogu Zbiorów Specjalnego Znaczenia i o katalogu Rękopisów! Ale tam do czytelnicy wpuszczają tylko profesorów.

I tyle ją widzieli. Pobiegnęła i nikt nawet nie zdążył jej powiedzieć „dziękuję”.

- Że też sam na to nie wpadłem! – Baltazar Gąbka pacnął się w czoło – Czy ja na pewno jestem profesorem?! Oczywiście, że tego, co jest w tamtych katalogach, nie ma w dostępnych dla zwykłej publiczności.

Do katalogów tych wiodła wcale nie prosta droga, gdyż nie znajdowały się one wcale tam, gdzie pozostałe. Baltazar Gąbka wybrał się w tę drogę zupełnie sam, towarzyszy pozostawił w kawiarence przy kolejnym dzbanku mrożonej herbaty. Po trzech jazdach windą i przejściu nieskończonego labiryntu korytarzy oraz antresoli, profesor Gąbka stanął wreszcie przed imponującymi dębowymi drzwiami z mosiężną tabliczką: „Rękopisy specjalnego znaczenia”. Pod spodem widniała inna, znacznie mniejsza, mosiężna tabliczka: „Wstęp tylko dla profesorów i innych pracowników naukowych”. Na samym końcu wisiała już ostatnia, malutka tabliczka z napisem: „Czynne w dni powszednie, od 10.00 do 15.00, a w soboty od 13.00 do 15.00”. Profesor Gąbka szybciotko rzucił okiem na zegarek i zauważył, że jest za minutę trzecia. Czym prędzej więc złapał za klamkę, nacisnął ją ostrożnie i pchnął drzwi... Na szczęście ustąpiły. Odetchnąwszy głęboko Baltazar Gąbka przekroczył próg.

W przestronnym pokoju, którego wszystkie ściany zajmowały szufladki katalogowe, przy potężnym dębowym biurku drzemała siwiuteńka jak gołąbek staruszka. Profesor Gąbka podszedł do biurka na palcach, bo jako dobrze wychowany człowiek nie chciał zbyt gwałtownie przebudzić ani przestraszyć starej damy. Na wielkiej mosiężnej tabliczce stojącej na blacie widniał napis: Najstarszy Inwentaryzator. Było pewne, że najstarszy jest najważniejszy. Profesor usiadł w fotelu naprzeciw pani Inwentaryzator i zapukał delikatnie trzy razy w oparcie swojego fotela. Na twarzy starej pani pojawił się błogi uśmiech, jakby miała bardzo miły sen. Po chwili jej oczy za grubymi okularami rozwarły się i całkiem trzeźwo popatrzyły na siedzącego naprzeciw profesora.

- Witam pana, profesorze. – powiedziała i wyprostowała się w fotelu – Czym mogę służyć?

- Poszukuję rękopisu Laurentego z Rud – powiedział profesor – Czy my się znamy?

Staruszka wstała i ruszyła po właściwą szufladkę katalogową.

- W dzisiejszych czasach – mówiła wyciągając szufladkę z półki – wszyscy dokądś pędzą i nikt nikogo nie pamięta, jeżeli taka pamięć nie przynosi mu jakichś korzyści. Ja mam bardzo dobrą pamięć i nie jestem w ogóle z dzisiejszych czasów.

Wzięła szufladkę pod pachę i wróciła do biurka, po czym postawiła ją przed sobą i uśmiechnęła się do profesora.

- Profesor Baltazar Gąbka, prawda? – nie czekając na odpowiedź zaczęła przerzucać karteczki w szufladzie.

- To miłe. Myślałem, że nikt mnie już nie pamięta.

- Wprost przeciwnie profesorze. Mam wciąż w pamięci pana epokową pracę pod tytułem... O jest! Proszę – wyjęła właściwą karteczkę i położyła przed sobą. – Laurenty z Rud „Czary i Atraktanty”... numer katalogowy... – zaraz... zaraz – przetarła grube okulary flanelową szmatką i ponownie włożyła je na nos – Ach! – krzyknęła i zasłoniła usta dłonią, jakby zrobiła coś niewłaściwego. Oczy rozszerzyły jej się ze zdumienia.

- Czy coś się stało? – zapytał profesor Gąbka.

- Tutaj jest napisane – powiedziała powoli siwa pani Inwentaryzator – Że ta książka w 1961 roku została wysłana do Warszawy w celu wykonania prac konserwatorskich... i...

- ..i. – podsunął jej usłużnie profesor Gąbka

- ... i nie ma żadnej adnotacji, że do nas wróciła!

Stara dama wpatrywała się w notatki wykonane odręcznie na karteczkach, kręciła głową, obracała kartkę do góry nogami i na lewą stronę, znów czytała. Profesor Gąbka wstał i na chwilę przystanął za jej plecami studiując różnobarwne adnotacje na fiszce. Ponieważ zaś siwiuteńka jak gołąb pani zupełnie zapomniała o bożym świecie, profesor Gąbka postanowił nie przeszkadzać i opuścił na palcach jej gabinet.

- To dziwne – powiedziała podnosząc wzrok znad kartki – Takie to były czasy. Zabierali coś do konserwacji a potem znikalo. Dobrze, jeśli będzie w Bibliotece Narodowej, a nie na Dalekim Wschodzie, na przykład na tym najdalszym, co leży dokładnie na północy...

W tym momencie odkryła, że mówi sama do siebie. Nie zdziwiło jej to jednak, bo miała już naprawdę swoje lata i nie była pewna, czy przypadkiem nie prześniła całego życia.

- Właśnie teraz leci już pięćdziesiąty pierwszy rok od wywiezienia tej książki do Warszawy. – zakończył swą relację profesor Gąbka, który siedział od dobrej chwili z powrotem w kawiarence.

- Nie chcę nic mówić – rzekł Doktor Koyot – Ale widzę w tym jednak działanie Ciemnych Mocy i Czarnej Dziury.

- Dlaczego? – zadał swoje nieśmiertelne pytanie Samborek.

- Bo 1961 w systemie magicznym sumuje się do ośmiu, pięćdziesiąt równa się pięć, a osiem plus pięć to daje razem trzynaście – ciemną liczbę. A trzynaście równa się cztery. A z kolei osiem plus pięć plus cztery równa się siedemnaście, czyli znowu osiem – „pełnia”. A osiem plus osiem równa się szesnaście, co równa się siedem – „szczęście”, ale mamy też tutaj dziewiątkę, a dziewięć – to „śmierć”...

- Doktorze Koyot, a osiem położone, daje nieskończoność, prawda? – przerwał mu grzecznie Samborek.

- Właśnie – podchwycił profesor Gąbka – On może tak w nieskończoność sumować i mnożyć. Tylko czy coś z tego dla nas wynika Koyotku poza tym, że mamy tu już wszystkie cyfry od zera do dziewięciu i jeszcze kilka innych?!

- Prócz dwójki. – powiedział Doktor Koyot natychmiast i głęboko się na chwilę zamyślił – Tak, właśnie ze wynika. – pociągnął po chwili – Trzeba jechać do Warszawy. Zresztą z tego co wiemy, tam właśnie ma siedzibę Marszałek Zmora. Tam też urządza te swoje słynne narady Najbardziej Oświeconej Rady.

- Zatem ruszajmy. – powiedział Książę Krak



Rozdział 5 – Horror w Sali Kandelabrowej. Wielkie wejście Licho na szczycie wieżowca.

Marszałek Zmora przechadzał się majestatycznym krokiem po Sali Kandelabrowej, która mieściła się na ostatnim piętrze największego wieżowca w Warszawie, zwanego modnie – Warsaw Tower. Wieża wzbijała się dumnie w górę w samym sercu miasta i przebijała iglicami chmury. Za wynajęcie jednego piętra w tej przepysznej wieży ze szkła i marmuru trzeba było zapłacić, z góry za miesiąc, ćwierć kilo diamentów czystej wody. Woreczek księcia Kraka starczyłby dokładnie na wynajęcie piętra na 3 doby 3 godziny i 33 minuty. Imperium Marszałka Zmory zajmowało tutaj całe dziewięć pięter na samiuteńkim szczycie, a dziewięć z tych dziewięciu to była właśnie Sala Kandelabrowa. Pozostałe piętra należące do

Marszałka Zmory wypełniały biura jego konsorcjum KOP do P oraz koncernu medialnego Nic Poza Tym.

Marszałek szedł powolutku wzdłuż ścian ze szkła, a ze wszystkich stron spoglądały na niego dumne oblicza przodków odmalowane na gigantycznych portretach. Środek Sali zajmował olbrzymi okrągły stół, a wokół niego postawiono czterdzieści pięć krzeseł. Za przeszkloną ścianą naprzeciw dębowych drzwi ciągnęła się przewspaniała panorama stolicy z wybijającym się wciąż na tle innych wieżowców Pałacem Kultury.

- Ciemno tu jakoś – wymamrotał sam do siebie Zmora i klasnął trzy razy w dłonie. Salę, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaalało miłe światło z tysiąca rozmieszczonych pod sufitem kandelabrow.

Marszałek Zmora wpatrzył się w portret swojego prapradziadka, którego obrał za wzór do naśladowania w każdym najmniejszym szczególe. Zmora nie był dzisiaj w dobrym humorze. Ostatnio nie sypiał dobrze, więc ziewnął szeroko patrząc w oczy prapradziadka.

- Ty to zawsze wiedziałeś skąd wiatr wieje i z kim trzymać – rzekł wpatrując się w portret – żeby skutecznie pomnażać zasoby naszej rodziny. Dzięki ci dziadziu, że potrafiłeś być tak przenikliwy. To ty zdobyłeś ten najważniejszy, bo pierwszy worek złota, który był podwaliną pod moje dzisiejsze imperium. To była wielka odwaga zostać piratem na Wielkiej Rzece, w czasach gdy dookoła szalała rewolucja. Ale ten numer z transferem worka złota razem twoim synem, małym Leonkiem, na Barpiwonię to już prawdziwy majstersztyk wszechczasów. Jak dokonałeś tego cudu? – zapytał Marszałek i pokręcił głową z podziwem. - Wtedy czasy były o wiele prostsze. Łatwo było rozpoznać kto wróg, a kto przyjaciel. Teraz nawet przyjaciel może człowiekowi wbić przysłowiowy sztylet w przysłowiowe plecy...

Marszałek Zmora rozczulił się nad samym sobą tak bardzo, że byłby się rozplakał, ale w kieszeni jego rasowego garnituru rozdzwoniła się nagle komórka.

- Słucham! – rzucił wściekle w słuchawkę –Aaa, to ty Ciernik?!... Proszę, odnalazła się wreszcie chluba naszej Najtajniejszej z Tajnych Służb. Gdzieś ty się zakamuflował?! Cemu nie odbierasz telefonów od rana!.... Że co?... Że prawie do rana śledziłeś tych Krakusików?!... A co mnie to może obchodzić?! – Marszałek Zmora poczerwieniał na twarzy i groźnie zmarszczył brwi – Czy ja ci płacę za spanie?! Wyśpisz się na tamtym świecie, ty nieudaczniku jeden! Już tu do mnie!!! Meldować się! Chcę cię widzieć w pięć minut z raportem w zębach. Jestem w Kandelabrowej... No, no już dobrze... dobrze... nie płacz!.. Że co wymyśliłeś, piosenkę powitalną?! Czyś ty chłopie zwariował?!... Co?... Tylko nie myśl, że się wykpisz jakimś tanim pochlebstwem! Na bruk cię wywalę jak psa, jeżeli dasz plamę!!!

Marszałek wyłączył telefon i z furią rzucił komórką o posadzkę. Rozleciała się na drobne kawałeczki. Ciężko sapiąc wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło. Musiał się koniecznie uspokoić, bo skronie mu pulsowały i tracił dech ze zdenerwowania. Wziąwszy trzy potężne hausty powietrza podjął znów swój marsz wokół Sali. Zatrzymał się przy kolejnym portrecie i począł się kiwać na piętach w tył i przód, z rękami założonymi na plecach. Był to portret pradiadka, którego mgliście jeszcze pamiętał z dzieciństwa.

- Popatrz pradiadku Leonie, z kim ja muszę tutaj pracować?! Otaczają mnie sami popaprańcy jacyś, nieudolni i namolni dranie. Piosenkę wymyślił zamiast śledzić tych

popleczników Zielonych! Powitalną... i to ma być moja prawa ręka?! Czy to tak miało wyglądać, dziadziu? Czy o to walczyłeś jako główny księgowy Barpiwonii?!

Marszałek poczuł, że z lewego oka łzy lecą mu ciurkiem wbrew jego woli.

- Nie rozklejaj się tu, cholercia, tylko bierz się do roboty! – wrzasnął na niego pradziadek Leon z portretu. – Bierz się za nich! Nie waż mi się spocząć, dopóki choć jedna sprawa będzie jeszcze jasna! Nie po to cię tata wydał na świat, żebyś tutaj beczał nad sobą! Mam zejść z obrazu i wytargać cię za uszy?!

Marszałek przetkał sobie ucho palcem, bo nie wiedział, czy to nie jakiś omam słuchowy albo głos wewnętrzny będący skutkiem kryzysu nerwowego i rozdwojenia jaźni. Portrety nie gadają, tego był pewien, przynajmniej na razie jeszcze nie... może kiedyś, gdy technika się rozwinie. Przetarł też oczy, bo mu się zdało, że dziadek Leon wykrzywił się do niego.

- Nie gap się tak i nie dłub w uszach, jak jakiś półgłówek! Ruszaj! Wykończ ich! Wszystkich! Co do jednego, cholercia! – usłyszał głos pradziadka.

Może Marszałek Zmora byłby się i przewrócił z wrażenia, gdyby perorujący pradziadek Leon nie umilkł nagle, gdy rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Marszałek odwrócił się tyłem do portretu, na którym pradziadek Leon zmarszczył brwi robiąc srogą minę.

- Bierz tego durnia za łeb i przywróć go do pionu! Wszystkie ręce na pokład! – rzucił jeszcze pradziadek do jego pleców.

- Proszę wejść – powiedział Marszałek Zmora prawie przyjemnym tonem – Wejść!!! – ryknął, kiedy drzwi mimo tego się nie otwierały.

W drzwiach stał Jerzy Ciernik. Łysy mężczyzna wielkości szafy gdańskiej z zupełnie na zero wygoloną głową. Czarne okulary, których nigdy nie zdejmował, zasłaniały mu nie tylko oczy, ale i pół twarzy. Jedynie zza lewego ucha wyrastał mu jeden jedyny, czarny jak sadza włos. Włos ten był najwyraźniej przedmiotem kultu i bardzo starannej pielęgnacji. Mężczyzna ufarbował go, wyżełował i zakręcił na końcu jak antenkę.

- Szef Najtajniejszej Tajnej Służby Jerzy Ciernik melduje się na rozkaz! – powiedział człowiek-szafa przykładając dwa palce do łysej czaszki nad prawym uchem i prężąc pierś.

Włos nad lewym uchem stanął mu na baczność. Mężczyzna zrobił trzy kroki do przodu, wysunął stopę w błyszczącym jak lustro czarnym lakierku i niespodziewanie zaśpiewał dziarskim altem:

Jestem do usług,

padam do nóżek,

Ja – Jerzy Ciernik,

Pański podnóżek!

Pochylił się na koniec tak nisko, jak mu na to pozwolił jego wielki brzuch i w tej pozycji pozostał.

- Mam ci bić brawo?! – zachnął się Marszałek, ale zaklaskał trzy razy – Brawo! A teraz zamykaj te drzwi i gadaj zaraz co z nimi, zamiast mi tu wierszem kadzić! – rzucił wściekle. Wciąż był w szoku po niespodziewanej rozmowie z portretem pradziadka.

- Jakby to powiedzieć – zaczął szef NTTS, a prywatnie doradca Marszałka Zmora do spraw Bezpieczeństwa Osobistego i Biznesowego – Mieliśmy ich na widelcu wczoraj o świcie... W Tajemniczym Ogrodzie... ale...

Marszałek Zmora poczuł, jak napinają mu się mięśnie.

- Tylko mi nie mów, że coś poszło nie tak! – wrzasnął.

- Wszystko szło dobrze, zrobiliśmy zasadzkę z wielką armią liszków i paskudników, osaczyliśmy ich i rozpoczęliśmy kanonadę, ale...

- Tylko mi nie mów, że oni jeszcze żyją! – wysyczał Marszałek.

Ruszył w stronę Ciernika pochyliwszy głowę, jak atakujący byk. Twarz mu poczerwieniała, a oddech stał się świszczący.

- Niestety... – powiedział Szef Najtajniejszej z Tajnych Służb drżącym sopranem. Cały trząść się jak galareta – Udało im się wymknąć podkopem na zagon kapusty, a potem...

Marszałek Zmora jednym susem znalazł się przy nim i choć wyglądał jak dziecko na tle gdańskiej szafy, z całej siły kopnął Ciernika w kostkę.

- Ty, ty!!!... Ty nieudolna kopo siana! – wyrzucił z siebie Marszałek – Ty, ty.. Ty największy z największych bałwanów!!! .. Ty... – zabrakło mu konceptu, więc jeszcze raz potężnie kopnął swojego współpracownika w kostkę. Tamten zawył z bólu i zaczął tańczyć na jednej nodze niczym nakręcany pajacyk.

- Ależ Marszałeczku kochany – zawył – Marszałku łaskawy, to nie nasza wina!

- Nie nasza wina?! Ty łazęgo?! – wrzasnął Marszałek jak oparzony i zaczął okładać pierś Ciernika, bębniąc w nią pięściami niczym z karabinu maszynowego. Ledwo sięgał tak wysoko nawet wspiąwszy się na palce, lecz walił z całych sił – Ile jeszcze razy usłyszę od ciebie tę beznadziejnie głupią gadkę?! – zapytał retorycznie i nagle zniechęcony usiadł na krześle, które mu Szef usłużnie podstawił.

Przez chwilę trwała cisza.

- Więc? – zapytał Marszałek Zmora wpatrując się ponuro w błyszczącą odbitym światłem kandelabrową posadzkę obok czubka swojego buta.

- Więc uciekli... – powiedział wolno komendant Ciernik – Ale jesteśmy na tropie. Na pewno się gdzieś pojawiają. A stało się tak bo Licho... bo Wielki Liszek i Najpaskudniejszy Paskudnik

wydali rozkaz... wstrzymania ognia. I to wtedy, kiedy już mieliśmy ich na widelcu i ten ich latający spodek!

- Co?! – zdumiał się Marszałek – I ty do tego dopuściłeś?! Żeby oni wydawali rozkazy? Tu u nas?! Na naszej pięknej nadwiślańskiej ziemi?! Patałach!

- On powiedział, że to jest rozkaz samej Licho, więc..

- Co?! Samej Licho?! A to ona sama nie mogła się z tym rozkazem pofatygować?!?! Mogła by się wreszcie objawić! Korona by jej z głowy nie spadła, gdyby...

Marszałek miał tę przypadłość, że zawsze musiał palnąć coś nie do końca mądrego. I tym razem było nie inaczej. Nim dokończył, złapał się nagle za gardło.

– Gdbbyyrrrrhhbyyy – wycharczał, oczy wyszły mu z orbit, twarz zaś w jednej chwili zsiniała.

Zaczął się szamotać i wić, jakby go dławiała i krępowała jakaś niewidzialna ręka. Jerzy Ciernik ruszył mu na ratunek, ale nie zdążył zrobić kroku, kiedy stało się z nim dokładnie to samo. Powietrze w sali pociemniało, zmieniając się w nieprzejrzystą, szarą zawiesinę. Teraz obaj wili się i charczeli na lśniącej posadzce. Ściany, meble i portrety zadrżały, a kandelabry pod sufitem zaczęły dzwonić. Dzwoniły coraz głośniejsze i głośniejsze. Rozległ się dziwny dźwięk, jakby grzmot, a olbrzymi stół obrad, zajmujący środek Sali, ruszył nagle i sunął z coraz większym pędem ku ścianie i drzwiom. Wyrznął w nie z takim impetem, że złamał się na kilka części i zabarykadował wejście.

Z drugiej strony drzwi usłyszeli tupot kroków wielu osób i zaraz ktoś zaczął się do nich dobijać. To przybyła przerażona ochrona Marszałka. Ochroniarze nie mogli się jednak przedostać przez barykadę.

- Panie Marszałku, panie Marszałku – krzyczeli usiłując sforsować wejście do odciętej od świata Sali Kandelabrowej – Co się dzieje?! Czy panu nic nie jest?!?!

- Kret-tyni – wyrzeźił zduszonym szeptem Marszałek, którego skrecone niczym korkociąg ciało poczęło się teraz składać wpół, jak scyzoryk. Pojedyncze kandelabry odpadały od sufitu i rozbijały się o posadzkę ze szklanym grzechotem.

W sali rozległ się ochrypły głos, który wypełnił sobą przestrzeń. Najbardziej przerażające w nim było to, że czuło się, że dochodzi z dna niewyobrażalnej otchłani, jakby z Zaświatów, i ma moc, która wprawia w drżenie całą budowlę.

- To tylko ja – wyszeptała Licho, a jej słowa przecięły przestrzeń, niczym elektryczna piła żelazną szynę. – Czy rzeczywiście mam ci się objawić? Czy chcesz mnie zobaczyć w pełnej potędze? Czy wystarczy ci może ta okrojona wersja, którą nazywam „Niewidzialna Ręka”?!

Marszałek i jego poplecznik skrzywili się z bólu na te słowa i wcisnęli czym prędzej palce w uszy. Okulary komendanta Jerzego Ciernika zostały zerwane przez Niewidzialną Rękę z jego twarzy i roztrzaskane w drobny mak.

- Wystarczy – pisnął Marszałek – wystarczy, błagam!

Potęzna siła uniosła ich w powietrze i cisnęła jednego o jedną ścianę, a drugiego o drugą. Marszałek przeleciał niczym kukielka prawie całą Salę Kandelabrową i wyrznął z impetem w ścianę z widokiem na Pałac Kultury.

- Uff – stęknął, osuwając się po niej i upadł na kolana.

W tej sekundzie rozległ się cichy trzask i szyba pod jego palcami pokryła się siatką gęstniejących pęknięć. Potem usłyszeli mocniejszy trzask i szyba pękła zygzakiem od podłogi do samego sufitu. Ciarki przeleciały im po plecach.

– Littości – zawył Marszałek – Littości, o Pani, littości!!!

- Przygotujesz naradę wojenną. – Licho nieco ściszyła głos, tak że mogli go teraz znieść, choć nadal budził niewyobrażalną grozę i przypominał elektroniczne zwarcie splecione z wizgiem po szkłe – Przed nami decydujące starcie. Żeby mi wszystko, ale to wszystko – mówiła powoli i dobitnie – było zapięte na ostatni guzik. Osiemnastego czerwca o północy. W Strasznym Dworze. Zrozumiałeś ten rozkaz?!

- Ttak pani, ttak, oczywiście!!!

- Ależ osiemnastego to jest pojutrze?! W Kalinowie?! – zaprotestował słabo komendant Ciernik – Nie sposób zapewnić środków bezpieczeństwa... – przerwał, gdyż sala nagle zatrzęsała się w posadach.

Potęzny, czarny jak noc wir powietrzny zakręcił się w jej środku. Poderwał pod sufit ostatnie stojące krzesła i cisnął je z impetem w róg pomieszczenia, o centymetry od głowy Szefa Najtajniejszej z Tajnych Służb.

- Wykonacie rozkaz, czy mam wam pokazać, gdzie pieprz rośnie?!

Zapadła śmiertelna cisza.

- Więc żegnam.

W jednej sekundzie powietrze przejaśniało i wszystkie przedmioty odzyskały swoją ostrość.

Marszałek dźwignął się z kolan. Jego garnitur nadawał się na śmietnik, podobnie jak Okrągły Stół, wszystkie krzesła oraz sto kilkadziesiąt z tysiąca kandelabrow. Jerzy Ciernik chlapał jak małe dziecko. Miał podbite oczy, wielkiego guza niczym byczy róg na środku głowy, a włos na uchu spleciony w kulisty mini kołtunek. Dopiero teraz ochroniarzom udało się sforsować drzwi. Stanęli w wejściu jak wryci, porażeni obrazem Kandelabrowej Sali i widokiem Marszałka oraz Szefa NTTS.

- Czego się gapicie?! – ryknął falsetem Marszałek Zmora – Wynocha!!! Ale już!!! – wrzasnął i cisnął w ich kierunku nogę od krzesła, na którym siedział, zanim to wszystko się zdarzyło, a którą przez cały ten czas, jak się okazało, ścisnął w rękę.

- Ty też się zabieraj – rzucił do swojego doradcy do spraw ochrony osobistej i biznesowej – Ja robię konferencję, a ty mi masz przynieść głowy tych Krakusików na półmisku. Wszystkie, co do jednej! Zrozumiano?!

– Tak jest – zsalutował Jerzy Ciernik – Nie spuszczę ich z oka.

Szef Najtajniejszej z Tajnych Służb poczłapał ostrożnie do wyjścia. Bolały go wszystkie kości, nawet te najdrobniejsze, o których istnieniu do tej pory nie wiedział. Wchodząc tutaj wyglądał jak solidna szafa gdańska, teraz jednak przypominał już tylko kompletnie załamane łamagę.



Rozdział 6 – Warszawa, czyli jak zdobyć pozwolenie na rozbicie namiotu na Bielanach.

Podczas gdy Jerzy Ciernik i Marszałek Zmora z trudem dochodzili do siebie, nasi bohaterowie zdążyli miejskim autobusem do Starego Parku. Tym razem każdy z nich miał w kieszeni bilet. Gdy ostatnie promienie słońca kryły się za horyzontem, dotarli na miejsce. W chwilę później Książę Krak jako dowódca całej wyprawy zwinął ostatnie stopnie drabinki i zatrzasnął właz. Czas był najwyższy, jako że liszki w dziuplach Bardzo Bardzo Starej Brzozy przecierały właśnie swoje wszechwidzące po-trzy-oczy, a paskudniki otrząsały z resztek snu swoje przepaskudne gęby i myły zęby. Ta ciemna armia od razu zauważyła wrogiego obiekt w sercu swoich posiadłości. Byliby oni bez wątplenia nakryli czapkami pomniejszony latający talerz, gdyby się natychmiast nie wzbił w powietrze wypuściwszy za siebie oślepiającą, laserową strugę. W mgnieniu oka zniknął im więc za horyzontem wydarzeń.

Wieczorem zjedzono fantastyczną kolację przygotowaną przez Bartoliniego. Czarodziej Patelni tym razem podał serię wyśmienitych sałatek pod tytułem „dla każdego coś miłego”. Na bazie podstawowej zielonej sałaty i obowiązkowych pomidorów oraz sosu vinegrette powstały istic kosmiczne uwertury i arie smakowe, ba, całe opery! Dodatki serwowano według indywidualnych upodobań. Smok zażyczył sobie smażonej papryki i cebuli oraz oliwek i kaparów. Książę Krak chłopskiej szynki i boczku oraz jajka na twardo i aż czterech innych gatunków sałaty, profesor Gąbka trzech gatunków sera i rukoli. Nie będziemy wymieniać kompletnego jadłospisu. Do każdej sałatki mistrz dobrał odpowiedni sos, którego skład stanowił jego słodką, a czasami gorzką, albo nawet pieprzną tajemnicę. Po kolacji podano kruche ciasteczka i kawusie, albo sok pomarańczowy, a nawet colę. Była po temu ważna okazja, bowiem o godzinie 20.45, zamiast iść grzecznie do łóżek, dzięki Mądrodudkowi podłączyli swój telewizor do satelity transmisyjnego. Obejrzeli w głównej sterowni wspaniałą mecz polskiej drużyny we Wrocławiu. To było piękne zwycięstwo. Zapanowała euforia, bo Polska wygrała swoją grupę. Teraz mogli wreszcie umyć zęby i zasnąć, po tym męczącym ale jakże radosnym dniu.

Tylko jedna osoba nie była w stanie spać tej nocy. W ciągu tysiąca przelotów na orbicie okołoksiężycowej profesor Gąbka obmyślał plan zainstalowania Kompanii w Warszawie. Był niezawodny w rozwiązywaniu trudnych sytuacji, choć często czynił to kosztem snu. Rano miał jak zwykle gotowe rozwiązanie.

- Wylądujemy w ustronnym miejscu, najlepiej na jakiejś polanie w bieleńskim lesie – powiedział podczas śniadania – Tam doktor Koyot wyczaruje wielki namiot cyrkowy. Ogrodzimy teren wokół namiotu i ogłosimy w prasie i telewizji, że oto przybyła z Krainy Włoskiej Kapusty ekipa najznakomitszego na świecie cyrku Maestro Tomatto vel Pomidorro, czyli Bartłomieja Bartoliniego, zwana też Cyrkiem „Zielona Arena”. W namiocie będziemy mieć bazę, a w drugim mniejszym bez trudu ukryjemy latający talerz. Wyczarujemy też mieszkalne wozy na kołach i namiocik kuchnię dla Bartoliniego.

- Już ja dopilnuję – rzekł Smok Wawelski – żeby się tam nikt podejrzany nie plątał.

- Howk. I ja też! – rzekł po psiemu Czarny Bolo.

Kiedy już usłyszeli ten plan, wszystkim wydał się on oczywisty i dziecinnie prosty. Ale wiedzieli, że trzeba być geniuszem takim, jak profesor Gąbka, żeby na coś tak prostego wpaść.

- Jesteś genialny, Baltazarze – ogłosił z zachwytem Bartolini.

- To ty jesteś genialny, Bartłomiejku – odpowiedział mu profesor Gąbka – Ten pomysł przyszedł mi do głowy podczas kolacji. Sporządziłeś tak wspaniałą sałatkę z pomidorów, że pomyślałem, że wyczarować taki smak to prawdziwa magia. No i od magii do iluzji, a potem do cyrku, było już bardzo blisko.

- Mamma mia! – wykrzyknął zadowolony z siebie Bartolini i okrył się rumieńcem ciemniejszym niż pomidor.

- W rzeczy samej, genialne – potwierdził książę Krak – To zwyczajne, że w kompanii cyrkowców jest ktoś o twarzy pomalowanej na zielono jak klaun, ktoś przebrany za księcia jak ja, robot taki jak Mądrodudek, czarnobiały łaciaty pies, a nawet egzotyczny smok .

- O przepraszam, ja jestem jak najbardziej tutejszy – obruszył się Smok Wawelski.
- Prawda, tylko że oni nie wierzą w tutejsze smoki – powiedział Doktor Koyot.
- Lepiej zastanówcie się jakie w tym cyrku mamy przedstawienie. – odezwał się profesor Gąbka
- To jest problem. – Samborek zamyślił się poważnie.
- Poradzimy sobie – rzekł jak zwykle nastawiony optymistycznie i spokojny Smok – Każdy z nas przecież potrafi coś zupełnie wyjątkowego. Ja na przykład umiem zionąć ogniem, więc dam pokaz, jak polykacze ognia. Jestem też silny, więc mogę dać pokaz siłacza, no i mam swój wygląd, więc mogę robić za dziw nad dziwami. Doktor Koyot wyczaruje niejedno, a książkę Krak może dać z Bolem pokaz wspaniałej tresury. Tak mądrego pieska jeszcze tutaj nie widzieli. Spokojna głowa, damy radę.
- Akurat, jaki tam z psa może być wielki mądrała? – wymamrotał do siebie bardzo cichutko Don Pedro.

Tuż po szóstej nad ranem, 17 czerwca 2012 roku, Latający Talerz opuścił się majestatycznie na wielką polanę opodal bielańskiego lasu. Jak się okazało, nie była to wcale polana, ale duże lekkoatletyczne boisko należące do Akademii Wychowania Fizycznego. Dookoła panowała cisza przerywana jedynie przez świergolące ptaki. W tak dużym mieście trudno jednak o rzeczywiście puste miejsce. Mimo że była niedziela, przez teren akademii sunęli powoli dwaj strażnicy, Alan i Igor, strzegący obiektów uczelni. Właśnie zaczęli swoją zmianę. Alan i Igor nie byli wcale obcokrajowcami, ale rdzennymi mieszkańcami stolicy. Jeśli komuś brzmią dziwnie te obce imiona, to przypominam że nad Wisłą i Odrą zamieszkuje około dwadzieścia tysięcy dziewczynek o imieniu Izaura, i około stu tysięcy Oliwierków. Mnie to imię kojarzy się z gatunkiem oleju i z oliwiarką do roweru, ale ludzie nadając dzieciom imiona czasami kierują się chwilową modą. Moda przechodzi, a imię niestety lub na szczęście zostaje. Jak widać Alan Motyka był produktem mody prozachodniej, a Igor Grubek mody odwrotnej.

Początkowo obaj strażnicy myśleli, że ktoś rzucił dyskiem, bo srebrzysty talerz przypominał wielkością i kształtem ten właśnie przedmiot. Jednak nie było widać miotacza, który miałby tym dyskiem miotać. Z chwilą kiedy dysk upadł w trawę, a potem z jego wnętrza wytaszczyli się nasi bohaterowie, sytuacja się zmieniła. Strażnicy byli dosyć daleko a dysk lądował pod słońce, więc musieli osłaniać oczy, żeby dokładnie zobaczyć, co też tam się wyprawia. Po chwili spostrzegli, że przed dyskiem pojawiła się banda krasnoludków. Alan i Igor w jednym stali domu, jeden na górze a drugi na dole. To znaczy, że byli sąsiadami z tej samej kamienicy i przyjaciółmi z tego samego podwórka. Obaj też mieli tęgie mięśnie, tęgi spust i nietęgą głowę. Wczorajsza dyskoteka bardzo ich obu wyczerpała, jednak nawet kilka hektolitrów coli wypitych przez nich zeszłej nocy nie mogło wywołać o szóstej rano wizji samomiotającego się dysku.

Tak się złożyło, że nasi bohaterowie nie zauważyli strażników. Dlaczego? No, bo każdemu w tak długiej książce zdarza się popełnić błąd. Prawdę mówiąc ulżyło mi, że się im ten błąd przytrafił. Już zaczynałem bowiem podejrzewać, że oni nie są ludźmi. Tylko święty albo maszyna nigdy się nie myli i zawsze ma szczęście. Mądrodudek był co prawda maszyną, ale jedynie w połowie, więc też popełniał błędy. Skoro komputer pokładowy pomylił się co do

miejsca lądowania, Mądrodudek nie zauważył niebezpieczeństwa, a Czarny Bolo nawet nie zaszczekał, to tym bardziej prawo do popełnienia błędu miała cała reszta towarzystwa.

Doktor Koyot po krótkiej chwili od wylądowania przystąpił do ich powiększenia. Oto na chronionym terenie przed oczami Alana i Igora zjawiała się znikąd ośmioosobowa paczka jakichś przebierańców nie z tej ziemi i do tego dziwny pies w łaty, z wielkimi uszami. Jeden z przybyszów był przebrany za olbrzymiego smoka i gdy tylko ich spostrzegł, podniósł z trawy srebrzysty dysk. Ten sam, który widzieli w locie.

- Oops – powiedział Smok – mamy gości, a raczej trafiliśmy do kogoś w gości. Przerwij, Koyotku, to powiększanie.

Doktor Koyot powstrzymał się w ostatniej chwili przed dotknięciem różdżką dysku. Jak już się przekonaliśmy, używanie umklajdera może być niebezpieczne. Tym razem dzięki refleksowi Doktora Koyota udało się uniknąć zmiżdżenia smoczego ogona albo łapy.

- Cie, choroba – rzekł Igor do Alana – Włóczykije jakieś?!

- Ki diabeł – odpowiedział Alan Igorowi – Takiego czegoś żem jeszcze nie oglądał. Wyciąg broń. Zabawimy się, co?!

- Jak tu już wylądowały, to postrzelamy se jak do kaczek, nie?! Naprzód! – rzekł Igor i wyciągnął pistolet z kabury.

Ruszyli niespiesznie w stronę kolorowej bandy przebierańców.

- Ty, ten w pelerynie coś tam chowa, myślisz że jest uzbrojony? – rzekł Alan postępując za Igorem i odbezpieczając swój pistolet.

Zatrzymali się kilkanaście kroków od dziwnej grupy.

- Ty – Igor szturchnął w bok Alana – Ten z koroną na głowie to jaki król? On też tam coś kombinuje pod tym czerwonym płaszczykiem.

- Nie łokciuj mnie, palancie! – fuknął na niego Alan – Bo przez ciebie zaczną strzelać bez ostrzeżenia, a to jest przestępstwo. Trza ich ostrzec.

- Ty, a ten zielony to jakiś obcy chyba?! Obcy jak nic!

- Hej wy, łachudry! Stać, nie ruszać się!!! – krzyknął Alan do Obcych – Ręce do góry!

- Czy my się ruszamy? – zapytał Smok.

- Nie wydaje mi się. – odpowiedział mu Samborek – Ale i bez tego bardzo nie lubię, kiedy ktoś do mnie mierzy z broni.

- Przepraszamy, ale czy wylądowaliśmy na warszawskich błoniach?! – zapytał uprzejmie profesor Gąbka.

- Że co? - ryknął Alan.

- A pozwolenie na lądowanie macie?! – zapytał Igor.
- A pozwolenie na pobyt na terenie naszej wyższej uczelni?! Okazać! – ryknął Alan.
- Przepraszamy, jeżeli wkroczyliśmy bez pozwolenia na prywatny teren. Do tej pory jakoś pozwolenia nie były nam potrzebne! – zawołał profesor.
- Nie były wam potrzebne. – Igor przedrzeźniał nieco drżący głos profesora – U nas wszędzie trzeba mieć pozwolenie. Na wszystko! Na sprzedaż, na wejście, na stanie na ulicy..
- Na gadanie na ekranie – kontynuował Alan – Na palenie tytoniu na otwartym terenie też. Ty tam – wskazał na lewą rękę Smoka – czy tam masz fajkę? Palenie tutaj jest zabronione!
- He, he, he! – zaśmiali się grubo obaj i zapytali chórem – Czyście z Księżyca spadły, czy jak?
- Pozwolenia im niepotrzebne były. – przedrzeźniał nadal Igor drżącym falsetem.
- Zgadł pan, właśnie spadliśmy z Księżyca – powiedział dostojnie książę Krak – Przed chwilą. A dokładnie z okołoksiężycowej orbity.
- A ten zielony i ten automat to kto?! Obcy z Nostromo, co?! – zarechotał Allan
- Słucham?! – rzucił w stronę napastników Bartolini – Czy mi się zdaje, czy słyszę jakąś złośliwą nutę w głosach szanownych panów?
- Te – Alan znów trącił Igora w bok – on słyszy nuty i nazywa nas szanowni panowie. Co ten kucharczyk sobie myśli? Przylejemy mu w patelnię?!

W tym momencie przestraszony Igor, który przecież ostrzegwał Alana, żeby go nie poszturchiwał, pociągnął za spust swojego pistoletu. Pocisk świsnął w powietrzu. Miał dziwny kształt napęczniałej różowej kiełbaski i leciał prosto w kierunku Don Pedra. Don Pedro zupełnie na ten widok osłupiał i nie zdążył się usunąć. Kiełbasina eksplodowała mu na brzuchu oblewając go strumieniem różowej wody.

- Pfu, carramba – prychnął Don Pedro – Co to ma być?

Doktor Koyot, powąchał go ostrożnie: – Woda różana – zawyrokował.

Smok jednak tak bardzo się zdenerwował, że ryknął:

- Tak, to fajka, a to zapalniczka! – i zionął w kierunku napastników potężnym jęzorem żywego ognia.

W powietrzu zapachniało palonymi włosami, a Igor i Alan padli z wrażenia na ziemię.

- O rany! Trzymaj mnie Alan, ale mu dokopię... Ale może innym razem?! Dlaczego dali nam tylko pistolety na wodę. Mnie na różaną, a tobie na fiołkową?!

- Lepiej się stąd zabierajmy – rzekł książę Krak – Wygląda na to, że nie jesteśmy tutaj mile widzianymi gośćmi.

-Ja, ja – potwierdził Mądrodudek.

Igor nie chciał się poddać i podniósł swój pistolet celując w księcia. Kiedy Czarny Bolo to spostrzegł, rzucił się w jego stronę z przeraźliwym szczekaniem.

- Oj, rety! – krzyknęli obaj strażnicy i wzięli nogi za pas.

- Alan, ściągnij po... Ooo!... Moje portki! – ryczał szarpany za nogawkę Igor.

- A sam se ściągnij! – rzucił mu Alan i przyspieszył biegu.

- Nie portki ściągnij, tylko po-siłki! Posiłki, słyszysz?! Posiłki ściągnij!!!

Pędzili w kierunku budki strażniczej. Przyspieszyli jeszcze bardziej, kiedy srebrzysty dysk świsnął im koło ucha i zatoczył łuk wracając w ich kierunku. Znowu uratowali się padem na trawę. Szczekanie wściekłego pieska poderwało ich jednak szybko na nogi. Cwałowali przez boisko lekkoatletyczne niczym dwa grube zające w czarnych bejsbolówkach na łysych czaszkach. Całe szczęście, że to zajadłe psisko dało spokój i już wracało do grupy przebierańców.

- Ja im nie odpuszczę - mamrotał Alan – Ten gość z miotaczem płomieni to przegiął. Mocno przegiął. Wszyscy poprzeginaly! Patrz, wynoszą się!

Istotnie grupa zrobiła w tył zwrot.

- Przenieśmy się nad Wisłę, zanim ci mądrale ściągną tutaj pół miasta, a zwłaszcza dziennikarzy – powiedział Don Pedro.

- Słusznie – zgodził się profesor Gąbka.

- Ja, ja – przytaknął Mądrodudek – Strszn nisympoty typy.

- Rozbijemy namiot nad brzegiem rzeki. Tam jest pusto – zaproponował Doktor Koyot

- Dobry pomysł – potwierdził Don Pedro, który uwielbiał jeziora i rzeki.

- To jazda. Ogłaszam oficjalne przenosiny. – zakomunikował książę Krak.

Ruszyli zwawo przed siebie, zostawiając za plecami niegościnnie teren i dwóch skonsternowanych osiłków.

- Ale koniecznie trzeba będzie zdobyć jakoś pozwolenie – powiedział poważnie Samborek – bo w dzisiejszych czasach niczego się nie da zrobić bez stu pieczętek na stu papierkach.

I oczywiście jak zwykle miał rację.

- Dziwny to rodzaj wolności – zauważył filozoficznie Smok Wawelski – Za naszych czasów było inaczej. Wystarczało jedno słowo księcia Kraka.

- I po co było likwidować monarchię? – zapytał retorycznie księżę.

Gdy tylko Alan zobaczył, że dziwni przybysze odchodzą, nabrał ponownie animuszu.

- Ty, mam myśl – powiedział do Igora – Jakby tak zarobić trochę kaski na colę, co?! ...

- Jasne, pomysł w deche. Tylko jak?

- Ty idź za nimi, a ja dam znać tym gościom z telewizorni. Wiesz, tym z Nic Poza Tym, że wylądowało UFO.

- I co im powiesz? Że rzuciły dyskiem i że z dysku wysiadły krasnoludki, które się powiększyły i że znowu rzuciły w nas dyskiem?

- Nie gadaj, tylko zasuważ. Jak ich zobaczą to uwierzą.

- A dlaczego ja? ...

- Bo ty masz lepszego nosa – Alan postukał palcem w czubek nosa Igora – Ty go trafiłeś i ty pójdziesz za nim na wąż, nie?! No rusz się... Ja stukam do tivi. – powiedział wyciągając zza pazuchy komórkę.

Don Pedro tak okropnie śmierdział wodą różaną, że aż wykręcało nosy. Czarny Bolo od razu poradził mu, żeby wskoczył do Wisły, ale Don Pedro nie był przekonany. Rzeka wydawała mu się nie dość czysta. Igor nie miał więc problemu z odnalezieniem dziwnych przybyszów, chociaż na początku stracił ich z oczu. Szybko wpadł na trop węchowy i podążał za nimi bardzo ostrożnie w pewnej odległości.

Nie musieli odchodzić daleko, żeby znaleźć dobre miejsce na rozbicie namiotów. Nad samą Wisłą było znacznie spokojniej. Znajdowało się tam wiele parków, a także kilka płaskich trawiastych obszarów otoczonych starodrzewem. Nie podejrzewając, że są śledzeni, zatrzymali się na pustym terenie, który zwykle nazywa się błoniem. Doktor Koyot wyczarował wielki zielony namiot cyrkowy, a w jego środku także widownię i arenę. Czarodziejska różdżka wiedziona jego ręką, jak pałeczka dyrygenta, powołała też do życia solidne ogrodzenie terenu i wielki kolorowy szyld z neonową nazwą cyrku. Na zapleczu głównego namiotu Doktor Koyot wyczarował także kilka wozów cyrkowych. Wśród nich znalazła się również amfibia Smoka Wawelskiego, znana wszystkim dobrze z jego poprzednich wypraw. Na koniec Doktor Koyot wyczarował osobny płaski namiot i Smok wszedł do niego ze srebrzystym dyskiem pod pachą. Wszystko to obserwował z zapiętym tchem strażnik Igor Grubek, który coraz bardziej przecierał oczy ze zdumienia. W pewnej chwili to wredne psisko zaczęło się jednak bacznie wpatrywać w krzak, za którym ukrył się Igor. Kiedy pies uniósł przednią łapę i zaczął intensywnie węszyć w tym kierunku, Igorowi ścierpła skóra. Postanowił dłużej nie czekać. Odczołgał się na brzuchu spory kawałek, a kiedy już zasłoniły go inne krzewy wstał i ruszył biegiem na teren akademii, do Alana. Wyglądało, że przybysze rozgościli się tutaj na dobre. Biegąc Igor zastanawiał się, czy Alan powinien sprowadzać telewizję i dziennikarzy. Czy w ogóle ktokolwiek im uwierzy w tę niesamowitą

historię? Może ich wyśmieją? Co kombinują ci tutaj? A może należałoby zawiadomić wywiad wojskowy albo policję?

Jak pewnie się domyślacie, mały namiot posłużył za hangar dla latającego talerza. Kiedy latający talerz został już powiększony, wszyscy z wyjątkiem Czarnego Bola, który pozostał na straży, weszli jeszcze raz na pokład, aby się zastanowić nad dalszymi krokami. Okazało się, że w czasie, gdy ich tutaj nie było, komputer pokładowy odebrał nowe wieści od Szczególnie Wielkiego Komputera z Lodowy. Potwierdzało się, że prawą ręką Licho jest marszałek Zmora. Prawą ręką Prawej Ręki był zaś podobno Szef Najtajniejszej z Tajnych Służb, który pracował u niego na drugim etacie. Tak więc zidentyfikowano najważniejszych wrogów w stolicy. Co ciekawe, Szczególnie Wielki wskazał także potencjalnych sprzymierzeńców. Była to grupa nazywana Zielonymi Oddziałami, dowodzona tutaj przez tajemniczego i nieznanego z twarzy osobnika o pseudonimie Zielona Sowa. Ludzie ci stali się sławni po tym, jak uratowali Dolinę Rospudy, kiedy chciano puścić przez nią autostradę. Eswukael podał również, iż zidentyfikowano wydarzenie, które stanie się ostatecznym impulsem do wybuchu bomby ekologicznej. Jądrzem krystalizacji dla śmiertelnej lawiny, która miała zabić przyrodę i życie na Ziemi będzie wycięcie na dalekiej Syberii, w dniu 21 grudnia 2012 roku, trzystuletniej jodły. Jodłę tę zamierzano jak zwykle postawić na Nowy Rok, na Placu Czerwonym przed Kreml. Od wielu lat wielkie stolicy rywalizowały w dziwnym wyścigu – kto postawi u siebie okazalszą żywą choinkę na święta. Od Nowego Jorku przez Paryż, Londyn, Berlin, Warszawę i Moskwę, po Pekin, Tokio i Sydney, ku uciechu tłumu stawiano ścięte drzewa, które każdego roku w grudniu wycinano w północnych lasach. Miliony jodeł i świerków na całym świecie szły w tym czasie pod topór. Ta świąteczna rzeź choinek trwała nieprzerwanie od ponad dwustu lat.

- Dwieście razy kilka milionów – policzył szybko na głos Samborek – To są miliardy wyciętych drzew!... Ścina się je tylko po to, żeby powstały w domach przez tydzień i wyrzuca się na śmietnik, bo już są martwe!

- Nie mogę w to uwierzyć! – powiedział książę Krak – Przecież za naszych czasów drzewa były uważane za święte! Ogniska paliło się z zebranych suchych gałęzi. Kto ściał drzewo, musiał przeproszać leśne duchy i Borowila – Władcę Puszczy, bo inaczej naraziłby się na ich zemstę. Musiał też złożyć ofiarę, czyli na miejscu ściętego drzewa zakopać jego nasiona. Wycięcie jednego drzewka bez potrzeby mogło kosztować niebacznego drwala uschnięcie prawej ręki! Mógł być nawet zaklęty w głaz! Ci, co uparczywie czynili zło borom, stawali się w końcu upiorami bądź wilkołakami!

Doktor Koyot tylko kiwał ze smutkiem głową. Profesor Gąbka także bardzo się zmartwił tym, co usłyszał.

- Jeśli tego nie powstrzymamy – powiedział – tylko kwestią czasu będzie śmierć całej planety. Samborek dobrze policzył. Przez dwieście lat dla zabawy ścięto miliardy drzew, a ile ich ścięto w jakimś innym, niby bardzo ważnym celu?

- A może Eskawuel podesłał coś nowego na temat tego obiektu-klucza, albo miejsca gdzie go szukać?! – zapytał z nadzieją Bartolini.

- Niest nie. Ja, ja. – rzekł Mądrodudek, który manipulował jak zwykle przy tablicy rozdzielczej statku.

Książę Krak westchnął ciężko, ale zaraz podniósł głowę wysoko i wyprostował na niej koronę, która zabłysła złotymi refleksami. W namiocie pojaśniało i w serca zebranych wstąpiła otucha.

- Musimy się rozdzielić – powiedział stanowczo książę – Samborek ma rację. Jeżeli w tych czasach na wszystko trzeba mieć pozwolenie, to i my musimy zdobyć pozwolenie na pobyt na tym błoniu, na rozbicie namiotu i na wystawienie widowiska. Trzeba się udać tam, gdzie takie papierki wydają.

- Do Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy. – powiedział Samborek – Ale z tego co wiem, to się załatwia tygodniami, i to zanim się namiot rozbije. A my już tu jesteśmy.

- Co?! Aż tyle czasu?! Carrramba! – Don Pedro zasłonił usta zaskoczony własnym okrzykiem.

- Od czeg nasz lat tal?! Lat tal jst mach czas! My mach czas do tył i już! – zaskrzeczał Mądrodudek nie odrywając wzroku od światełek skaczących po pulpicie.

- Rzeczywiście! – ryknął Smok – Genialne! Pozwolenie na Cyrk Maestro Tomatto vel Pomidorro na Bielanych nad Wisłą! Sławny cyrk z Krainy Pomidora i Włoskiej Kapusty! Cyrk Bartłomieja Bartoliniego !

- W urzędzie na pewno zapytają, z jakiej okazji to widowisko?! – zastanawiał się Bartolini.

Profesor Gąbka poskrobał się po głowie.

- Nie można bez okazji? Bo cyrk sławny? – powiedział zafrasowany.

- Mam powód. Na cześć uczestników mistrzostw Europy w piłce nożnej! – powiedział Samborek i poczuł jak rośnie z dumy, że wpadł na tak proste rozwiązanie – Pierwszego lipca jest finał Mistrzostw Europy w Polsce i na Ukrainie. Więc trzeciego lipca, zaraz po powrocie polskiej reprezentacji, zrobimy z jej udziałem na bielańskich błoniach wielkie finałowe, piłkarskie przedstawienie cyrkowe! Okej?!

- Okej. – zgodził się książę Krak - Zrobimy tak: Mądrodudek, ja i Bartolini cofniemy się w czasie i zdobędziemy wszystkie niezbędne zezwolenia z Urzędu Miasta. Uzgodnimy też ze związkiem piłkarskim występ reprezentacji Polski na naszej arenie. Profesor Gąbka, Samborek i Don Pedro zajmą się rozpoznaniem zamiarów naszych wrogów i przyjaciół oraz identyfikacją miejsca przechowywania „Księgi Zaklęć i Czarów” Imé Twardowskiego. Smok Wawelski, Doktor Koyot i Czarny Bolo, pozostaną na miejscu w namiocie, żeby nie wszczynać popłochu na mieście. Nie wolno wam wpuścić tu nikogo obcego.

- Przepraszam, drogi książę – rzekł doktor Koyot nieco naburmuszony – Nie widzę powodu, żeby na mój widok miał powstać w mieście popłoch.

- Przepraszam doktoru. Nieściśle się wyraziłem – odpowiedział książę – Ty musisz tu zostać, żeby razem ze Smokiem i Czarnym Bolem obmyślić program tego widowiska i wyczarować wszystkie niezbędne na scenie rekwizyty.

Z tym Doktor Koyot zgodził się bez protestów.

- Ja poproszę laptop. – Samborek uniósł dwa palce do góry, jak w szkole – Z bezprzewodowym dostępem do szybkiego Internetu. Bez tego ani rusz.

- Ja, ja – Mądrodudek pokiwał głową – Ja, czyli tak.

- To znaczy, że to ja mógłbym spowodować popłoch w mieście, czy Czarny Bolo? – zapytał cicho Smok.

Nikt mu nie odpowiedział.

Tymczasem na teren Akademii Wychowania Fizycznego zajechał już wóz reporterski z telewizji Nic Ponad To, czy też Nic Poza Tym. Na boku miał wielki napis Nic Poza Tym, ale główny reporter Leszek Chytrusek, który nim tutaj przyjechał, miał też drugi etat w tej drugiej telewizji. To znaczy tam sprzedawał materiały, jako tak zwany wolny strzelec. Od jakiegoś już czasu dyskutował zażarcie z Alanem i Igorem przy budce strażniczej.

-Nie, nie, nieee – mówił teraz – Nie. To niemożliwe! – schował mikrofon do kieszeni marynarki zupełnie zniechęcony . – Po co ja tracę cenny czas!

Leszek Chytrusek był wielkim miłośnikiem Rzeczy. Że co? Nie rozumiecie co to znaczy? Być miłośnikiem Rzeczy, to znaczy uwielbiać posiadać rzeczy. Jakie? Wszelkie. Wszelkie rzeczy, jakie tylko stworzono na świecie. Nieprzypadkowo więc, podobnie do Jerzego Ciernika, który pracował na dwóch etatach, Leszek pracował aż na trzech. Ten trzeci, i to również nie jest przypadek, Leszek Chytrusek miał u Marszałka Zmory, jako rzecznik prasowy konsorcjum KOP do P i Najbardziej Oświeconej Rady. Obaj byli ludźmi tego samego pokroju. Najbardziej na świecie kochali pieniądze i to wszystko, co za nie można kupić. Prawdę mówiąc Leszek Chytrusek wziął tyle kredytów w obcej walucie, że przydałby mu się jeszcze czwarty etat, żeby je wszystkie spłacić. Czas był dla niego niezwykle cenną rzeczą, bo cały czas musiał zarabiać pieniądze. Teraz był zrozpaczony, gdyż tych dwóch osiłków najwyraźniej postradało zmysły. Opowiadali banialuki, bajdy, niestworzone historie. Coś o samorzucającym się dysku, który raz był mały, a raz duży i zionął ogniem. Dwóch ograniczonych umysłowo strażników to nie był ciekawy temat na program, który dałoby się dobrze sprzedać w telewizji Nic Poza Tym, albo na przykład w Nic Ponad To. – Co innego, gdyby byli chorzy psychicznie! – przez chwilę zastanawiał się, czy nie zrobić z nich wariatów.

- Ale jak bum cyk cyk! Przysięgam na kalesony mojego taty! – tłumaczył mu Alan – Najpierw to oni miały rozmiar jak dłoń, a potem to ten jaszczur był trzy razy większy od normalnego człowieka, a ten brytan to był, no, jak ten strongman , no jak mu tam... Nie tak?! – walnął znów łokciem Igora.

- Nu, a ja... Przestań, mnie trącać! Bo znowu będzie nieszczęście! – Igor zwrócił się gwałtownie do poszturchującego go Alana – Ja... poprowadzę – uśmiechnął się przymilnie do redaktorka z tivi – Ja wskażę miejsce. Oni założyły tam biwak. Nielegalnie ... Bez pozwolenia na ten biwak są. Oczywiście. Po salacie na łapie i lećmy! – Co miało znaczyć, że żąda całych, zieloniuteńkich stu nowych złotych polskich na dłoń każdego z nich.

- Przestańcie chłopaki zalewać! – Leszkowi Chytruskowi zbierało się na płacz. Zanim wróci z powrotem do redakcji straci godzinę, a zanim złapie następny temacik, kolejną. To znaczy, że przedpołudnie się zmarnuje.

- No i oprócz jaszczura, był tam gość z długim nosem, jakiś diabelski kucharz i król w koronie i jeden gość z zieloną twarzą i jakiś robot. – kontynuował.

- Eeee, niech was!!! – redaktor Chytrusek machnął ręką ze zniechęceniem – Ileście tej coli na dyskotece wczoraj wytrąbili?! Ile ona miała procent, tak z ręką na sercu?! – Zrobił w tył zwrot do wozu reporterskiego. – Wracamy! – rzucił kierowcy.

Kamerzysta założył denko na oko kamery i wszedł do samochodu. Kiedy Leszek Chytrusek stawiał nogę na stopień pojazdu, w jego kieszeni rozległa się marsylianka. To dzwonił telefon komórkowy. Ten trzeci! Od razu zeszywniał i nerwowo wygrzebał telefon z kieszeni.

- Słucham, panie komendancie? – rzucił uniesieniem do słuchawki – Jak samopoczucie naszego wodza?!

- Dzięki! Przekażę, że pan się tym interesował. Powiedziano mi w redakcji, że pan szuka UFO na AWueFie. Ktoś podobno widział, zaraz po szóstej.

- Jestem tu z takimi dwoma. To oni. Kompletnie niewiarygodni. Poplątani goście. Mówią, że tam był smok i kucharz i jakiś król... że raz byli mali, raz duzi...Nieee, można to sobie darować.

- Hmmmm... Tak powiedzieli?! Widzieli smoka i króla w złotej koronie?!

- Tak twierdzą. Nie jestem pewien, czy się obudzili na dobre po wczorajszej zabawie.

- Proszę ich sprawdzić. Serio.

- To jakaś bajka, panie komendancie?

- Na pana miejscu... – odezwał się szeptem Ciernik – na pana miejscu poszedłbym czym prędzej tym tropem. Poważnie. I nie wypuszczałbym tych ludzi spod kamery. Tak się składa, że nie tylko ja ich poszukuję. Sam Najwyższy też. Ozłoci pana, kochaniutki, ozłoci, jak mu ich przyprowadzimy przed biurko...

- Co pan, serio, panie komendancie?! To ci heca! – Leszek Chytrusek w sekundę pojaśniał. Twarz przyozdobił mu uśmiech od ucha do ucha. – Już ruszam.

- Tylko dyskretnie. Proszę nie spłoszyć. Obserwować. Ja tymczasem starannie przygotowuję akcję. Musimy ich zdjąć.

Na teren kampusu Akademii Wychowania Fizycznego wjechał właśnie kolejny wóz reporterski. Miał emblemat złożony z trzech splecionych ze sobą liter T, czyli był z radia Tra-Ta-Tam.

- Oho, konkurencja – zauważył kamerzysta redaktora Chytruska.

- Daj mi tu umowy dla tych dwóch – rzucił do niego Chytrusek – Ale szybko – odwrócił się na pięcie i z szerokim uśmiechem zwrócił się do markotnej pary, czyli Alana i Igora. - Panowie, żartowałem. Chodźcie no tutaj. Ozłocę was. Podpiszemy zobowiązanie...

dwustronne. Ja wam tu – zrobił palcami znany gest wypłaty pieniążków – A wy tylko i wyłącznie mnie. – wskazał na swoje ucho - Zrozumiano?!

- A jakże! – potwierdził ochoczo Igor.

- Piącha! – rzucił Alan wznosząc dłoń do góry.

Allan i Igor natychmiast się rozchmurzyli i w podskokach pospieszyli podpisać diabelski cyrograf. Leszek Chytrusek przybił z nimi piątkę i poklepał każdego po ramieniu. To było szczere, chociaż w głębi ducha miał ich za głupków. Mogli zażądać więcej pieniędzy. Za to on sam miał pewność, że nie zmarnował tu ani minuty, oraz że wydusi od Marszałka Zmory sutą zapłatę za następne godziny.



[1] Pinokio (wł. *Le Avventure di Pinocchio*) – powieść dla dzieci napisana przez włoskiego pisarza Carla Collodiego, a także imię jej głównego bohatera Pinokio (wł. *Pinocchio*). Początkowo ukazywała się w odcinkach w latach 1881-1883, pod tytułem *Storia di un burattino (Historie marionetki)*. Jako książka została wydana w 1883 roku. Powieść opowiada o przygodach drewnianego pajacyka Pinokia i jego „ojca” stolarza Geppetto (o przyzwisku „Mamałyga”). Charakterystyczną cechą Pinokia było wydłużanie się jego nosa gdy kłamał.

[2] Krakery – to kruche ciasteczka, chrupkie pieczywo dobre na przekąskę, a krakeny wręcz odwrotnie – bardzo niedobre morskie potwory, których nikt nigdy nie widział.



©® Wydawnictwo Kraina Księżyca & Studio KK